

KAPUCYNI ⁱ MISJE



Biuletyn Misyjny Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

ISSN 1642-8897, rok 2024, nr 2



*Chrzest święty
– początek życia w Bogu*



Drodzy przyjaciele misji kapucyńskich!

Trwa trzyletni, wielki jubileusz franciszkański związany z osiemsetleciem od wydarzeń z życia św. Franciszka z Asyżu. Wspominałem już o nim w pierwszym tegorocznym numerze Biuletynu Misyjnego. W tym roku przywołujemy wydarzenie stygmatyzacji św. Franciszka na górze Alwernia, które rozegrało się 17.09.1224 r. Stygmaty na ciele Franciszka były pozytywną odpowiedzią Pana Boga na jego wątpliwości czy prowadzi Zakon słuszną drogą. Św. Franciszek jest pierwszym uznanym oficjalnie przez Kościół stygmatykiem. Główne, tegoroczne uroczystości Rodziny franciszkańskiej połączone z sympozjum odbędą się w październiku w Kalwarii Zebrzydowskiej.

Przed nami kolejny Rok Jubileuszowy. Wcześniej Rok Jubileuszowy obchodzono w Kościele powszechnym co 50 lat, a od 1475 r. zaczęto go organizować co 25 lat, tak by każde pokolenie mogło przeżyć jubileusz choć jeden raz. Jubileusz Roku 2025 odbędzie się pod hasłem „**Pielgrzymi nadziei**” i rozpocznie się otwarciem Bramy Świętej w bazylice św. Piotra na Watykanie w wigilię uroczystości Narodzenia Pańskiego 24 grudnia. Rok Święty to szczególny czas łaski, w którym jesteśmy zaproszeni do otwarcia się na Boże dary w postaci odpustów zupełnych.

Co sześć lat odbywa się w Rzymie najważniejsze wydarzenie w życiu Zakonu. Jest nim Kapituła Generalna, podczas której zbierają się delegaci z całego świata, by rozważać najważniejsze zadania stawiane Zakonowi przez Kościół i współczesny świat, oraz aby wybrać władze generalne Zakonu. Podczas 86. Kapituły Generalnej Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów, Ministrem generalnym został wybrany ponownie Włoch, brat Roberto Genuin. Wśród dziesięciu radnych reprezentujących poszczególne regiony świata znalazł się nasz Minister Prowincjalny, brat Marek Miszczynski. Od tego momentu Prowincją Krakowską tymczasowo zarządza Wikariusz Prowincjalny, do momentu mianowania przez Ministra Generalnego nowego Ministra Prowincjalnego. Z naszego misyjnego punktu widzenia wybór brata Marka na radnego generalnego jestem bardzo pozytywny. Posiada on ducha misyjnego i dlatego liczę na owocną współpracę z nim w dziele misyjnym.

Trzeciego lipca Stolica Apostolska ogłosiła utworzenie w Sudanie Południowym nowej diecezji, wydzielając ją z diecezji Malakal. Stolicą diecezji zostało stanowe miasto Bentiu, które leży kilkanaście kilometrów od naszej parafii w Rubkona. Pierwszym biskupem diecezji został mianowany bp Christian Carlassare, dotychczasowy biskup diecezji Rumbek. Jest on Włochem z zakonu Kombonianów. Uroczystość objęcia diecezji przez nominata odbyła się 11 sierpnia 2024 r. Uczestniczyło w niej tysiące wiernych, m.in. przedstawiciele parafii Rubkona z naszymi braćmi Arturem Ziarkiem i Robertem Wieczorkiem. Diecezja Bentiu składa się z 7 parafii, ma 37 836 km² powierzchni, liczy 621 643 katolików (co stanowi 54,9 procent z 1 013 886 ludności w całym regio-

nie). Ordynariusz diecezji ma do dyspozycji 11 prezbiterów: 7 diecezjalnych, 4 zakonnych i 2 siostry zakonne. Na jednego kapłana przypada zatem 56 513 wiernych.

Na misjach aktualnie pracuje 14. braci misjonarzy z naszej Prowincji zakonnej. Można powiedzieć, że ani ich nie przybywa, ani też nie ubywa. Jedynie niektórzy zmieniają kraje misyjne. W Republice Środkowoafrykańskiej pracuje czterech braci, w Czadzie dwóch, w Sudanie Południowym trzech i po jednym w Gabonie i Algierii. Br. Zenon Kapka po rocznym pobycie w Polsce powrócił do Czadu, natomiast br. Andrzej Barszcz zmienił kierunek na misję w Gabonie i jest w trakcie przygotowań do wyjazdu, aby dołączyć do br. Piotra Michalika. Bracia Paweł Kubiak i Piotr Walocha, wcześniej pracujący w Bam w Czadzie uczą się języka angielskiego, by za jakiś czas wesprzeć braci w Sudanie Południowym. Na horyzoncie nie widać przyszłych kandydatów do wyjazdu na misje, podobnie jak i chętnych do wstąpienia do Zakonu. Trzeba jednak mieć nadzieję i zawsze pamiętać, że to Pan Bóg powołuje i posyła: „Proście Pana żniwa, aby wyprawił robotników na swoje żniwo” Łk 10,2

Jak każdego roku w listopadzie modlimy się za zmarłych w formie wypominkowej. Zachęcam Was do włączenia się w Wypominki Misyjne. Każdego dnia listopada za Waszych bliskich zmarłych odmawiany będzie różaniec wypominkowy przez młodych Afrykańczyków przygotowujących się do życia zakonnego w naszym Seminarium w Bouar. Modlitwa różańcowa za zmarłych będzie prowadzona także przez brata Jacka Dębskiego za pośrednictwem radia katolickiego Siriri w diecezji Bouar w Republice Środkowoafrykańskiej. We wszystkie niedziele listopada za polecanych zmarłych zostaną odprawione Msze święte w kościele seminarijnym w Bouar. Kartki z imionami Waszych zmarłych można przesyłać na nasz adres pocztowy Sekretariatu Misyjnego. Jednak preferuję podanie imion zmarłych drogą elektroniczną na adres – misje@kapucyni.pl. Proszę o wypisanie imion zmarłych w treści maila (nie chodzi o przesłanie skanu czy zdjęcia kartki wypominkowej), bez numeracji porządkowej. Ofiary, które złożycie z tej okazji zasilą w części formację seminarzystów i utrzymanie radia Siriri prowadzonego przez braci kapucynów.

Korzystając z okazji kontaktu z Wami za pośrednictwem tego czasopisma pragnę Wam serdecznie podziękować. Jesteście dla nas misjonarzy wielkim wsparciem, szczególnie tym duchowym jak i na płaszczyźnie materialnej. Bez Was nie byłoby naszej działalności misyjnej i tych pięknych dzieł ewangelizacyjnych i socjalnych, które realizują bracia misjonarze. Za Wasze zaangażowanie w dzieło misyjne serdecznie dziękuję. Z naszej strony możemy ofiarować Wam naszą modlitwę i zapewnić o wdzięczności i modlitwie tysięcy chrześcijan w Afryce.

Życzę Wam ciekawych przemyśleń podczas lektury niniejszego Biuletynu. Z Panem Bogiem

br. Jerzy Steliga



Małżeństwo u Nuerów

pisze br. Robert Wieczorek

„Gdy mężczyzna ma wiele żon, jak się to fachowo nazywa? – Poli-gamia! A gdy ma jedną żonę? – Mono-tonia!”. To wprawdzie europejska „frywolka”, ale oddaje trafnie to, co też siedzi w głowie statystycznemu mieszkańcowi Afryki centralnej.

Jako mieszkaniec obozu uchodźców (czyli ludzkiego mrowiska) byłem kiedyś zmuszony wysłuchać debaty na temat małżeństwa, która toczyła się w szkole średniej po drugiej stronie drogi. Mój blaszany domek nie daje żadnej izolacji od gwaru rozmów zaraz za płotem, a tym bardziej od tego, co dociera do uszu przez głośniki. W ramach ćwiczeń angielskiego, w atmosferze dobrej zabawy, przy salwach śmiechu i przekomarzań wyznaczone strony tej szkolnej debaty wymieniały argumenty krążące w ich środowiskach „za” i „przeciw” obydwu opcjom – wielożeństwa i jednożeństwa. W rzeczywistości było tak, że monogamia słabo broniła straconych z góry pozycji, zaś sukces święciła głęboko zakorzeniona w mentalności Nuerów poligamia. Mówi się tutaj: „Masz krowy, więc się żeń!”, i to wezwanie jest nadal aktualne po zawartym już pierwszym małżeństwie: „Masz pod ręką stadko krów? Bierz kolejną żonę!”.

Na rzecz poligamii przytacza się różne argumenty: 1) Im więcej będziesz miał dzieci, tym bardziej twoje życie na ziemi będzie zabezpieczone ekonomicznie. 2) Posiadanie wielu kobiet w społeczności Nuerów jest tradycyjnie postrzegane jako powód do sławy i prestiżu dla mężczyzny. 3) Duża liczba synów oznacza obronę dla rodziny na wypadek często zdarzających się tutaj konfliktów. 4) Wiele relacji zawiązanych przez różne małżeństwa oznacza koneksje i protekcję klanu ze strony licznych krewnych. 5) Dużo córek to dobra inwestycja, bo w przyszłości dzięki wydaniu ich za mąż rodzina może się wzbogacić. 6) Dostępność różnych usług jest zapewniona przez wiele kobiet i ich dzieci pracujących w obojeściu.

Monogamia natomiast tłumaczona jest zasadniczo negatywnymi czynnikami: 1) Może się przydarzyć z powodu ubóstwa – mężczyzna, który nie posiada krów, nie ma za co dobrać sobie kolejnej żony. 2) Niekiedy mężczyzna tak się zniechęci trudnym charakterem swej pierwszej kobiety, że przechodzi mu ochota na kolejny ożenek. 3) Impotent pozostaje z jedną tylko żoną – to i tak za duży przywilej, jak na jego nieszczęście. 4) Zdarza się czasem (!), że prawdziwa miłość między małżonkami przeważa i mąż zadecyduje się pozostać wierny tej jedynej, aż do końca życia. 5) W wypadku fizycznego kalectwa, np. ślepoty mężczyzny, rodzina organizuje mu jakąś kobietę, za co ten wdzięczny zadowoli się takim szczęśliwym rozwiązaniem. 6) Niektóre kobiety de-

monstracyjnie sprzeciwiają się ewentualnym zakusom męża na kolejny ożenek. Stawiają sprawę na ostrzu noża: albo ja, albo ona. No i mąż czuje się zmuszony pozostać z tą jedną.

Ciekawe są te dwa kolejne powody monogamii, które sprowadzić można do jednego stwierdzenia: charakterna kobieta. Albo tak dała mężowi „popalić”, że odeszła mu ochota na kolejną żeniączkę, albo jest tak uparta, że nie pozwoli sobie na sprowadzenie do domu konkurencji. Jak dołączyć, tylko raz spotkałem się tutaj z przypadkiem, gdy kobieta z uśmiechem na ustach i pełną świadomością zadeklarowała, że nie ma zamiaru wiązać się ślubem kościelnym z ojcem swojego dziecka, bo to fuja i z tego byłyby tylko same kłopoty. Powinnowałem jej odwagi i klarowności przekonań.

Posiadanie – czy to krów, czy kobiet, czy dzieci - to dla mężczyzny źródło prestiżu. Móc się pochwalić dobrokiem to przecież uniwersalny cel. Tyle że u Nuerów chodzi o liczne pogłowia, urozmaiconą sypialnię i mnogie potomstwo. Przyjemność czerpana z życia seksualnego ma z pewnością duże znaczenie, stąd chęć „ubogacenia” go przez dobór kolejnych towarzyszek, ale o tym wiele mówić nie wypada. Podobnie też o pryncypium patriarchy – tak jest od zawsze, i koniec.



bp Christian błogosławi młodej parze. Po prawej stoi ks. Josef.

Z kolei poligamię w formie lewiratu (czyli poślubienie wdowy przez brata jej zmarłego męża) usprawiedliwia się argumentem, że kobieta zdolna do rodzenia nie powinna pozostawać sama. Gdy mąż przedwcześnie umrze (a zdarza się to często w warunkach ciągłych wojen i kataklizmów, poza tym kobiety dłużej żyją, dlatego jest ich o kilka procent więcej), wdowę „zaopiekuje się” któryś z braci zmarłego. Co ciekawe, nie traktuje się tego jako kolejnego ożenku, bo formalnie wdowa należy już do rodziny. Skoro wszyscy krewni



weselny poczęstunek

uczestniczyli w kompletowaniu wymaganej liczby krów dla jej rodziny, jest ona już „poślubiona” przez klan. I gdy po żalobie przeniesie się do obojścia brata śp. małżonka, współżyjąc z nim, będzie dalej rodziła dzieci „na konto” zmarłego. Ta praktyka wychodzi często przy zapisach w biurze parafialnym, gdy okazuje się, że jako rodzica nowonarodzonego dziecka podaje się nieżyjącego już od lat człowieka, nie zaś jego brata, który jest faktycznie biologicznym ojcem.

I nie ma się co silić na zawracanie kijem rzeki. Póki Nuerowie utrzymują zwyczaj ich tradycyjnego życia pół-nomadów, dopóty niewiele się w tej materii zmieni. Podstawą ekonomii i tożsamości plemiennej jest pasterstwo, więc jeśli tylko będą krowy, to i małżeństwa poligamiczne będą zawierane „póki starczy krów”, a wartość kobiety będzie wyznaczana pogłowiem, jakie rodzina może za nią uzyskać. Sprawy te oczywiście też ewoluują, bo wielu ludzi rozgoniła po całym świecie wojna domowa, a w innych stronach ludzie żyją inaczej. Ci, co osiedlili się w mieście, a do tego mają pracę ze stałym dochodem, zmieniają też tradycyjny sposób patrzenia na małżeństwo – ze wszystkimi tego konsekwencjami, tak dobrymi, jak złymi.

Obecność od lat organizacji pozarządowych czy agencji ONZ-owskich, jako pracodawców stawiających swoje kontrowersyjne nieraz wymogi, zmusza zatrudnionych tam Nuerów do adaptacji, w praktyce zadającej gwałt tradycyjnym

przekonaniom. Nie jest tajemnicą, że w sposobie funkcjonowania tych nowoczesnych instytucji los rodziny pracownika nie jest bynajmniej priorytetem. Kilka okresów urlopowych w ciągu roku pozwala na odwiedziny bliskich, ale na dłuższą metę normalna rodzina nie może tak przetrwać. Powszechnie spotykaną praktyką jest to, że mąż przebywa w Sudanie Południowym, bo tu ma pracę, ale żona i dzieci mieszkają w którymś z krajów ościennych. Tam jest bezpieczniej i łatwiej o szkołę, i tam mąż odsyła im zarobione pieniądze. Przedłużanie się takiego anormalnego stanu rzeczy prowadzi do tego, że mąż dobiera sobie na miejscu dodatkową „pomoc domową”, bo przecież trudno mężczyźnie samemu zadbać o siebie...

Ostatnia powódź przyniosła ze sobą ogromny problem: większość stad bydła wyginęła. Była to nie tylko strata ekonomiczna. Obok zubożenia społeczności, uzależnionej od pomocy humanitarnej, dał znać o sobie problem społeczny: jak w tych warunkach zawierać kolejne małżeństwa? Dziewczyny przynoszą dzieci do chrztu i od razu deklarują, że za ojca dziecka wyjść nie zamierzają, bo ten „nie ma krów dla jej rodziny”... Czy dojdzie w związku z tym tępnięciem do jakichś poważnych przemian w mentalności? Na razie słyszałem o jednej, za którą bym raczej nie optował. Otóż przyszli teściowie domagają się od kandydata na przyszłego zięcia, że skoro nie ma krów, to niechby w zamian postarał się dać im... „kałasznikowa”. Czy takie „narzędzie pracy”, powszechne w użyciu na tej nieszczęsnej szerokości geograficznej, sprzyjać będzie przekazywaniu dalej życia?...

W Kościele znam wielu bardzo oddanych mężczyzn, bywających nawet na Mszy świętej w tygodniu, skorych do pomocy, często zaangażowanych np. jako radni we wspólnotach. Do Komunii jednak nie przystępują, bo mają po kilka żon... I nie mówię tu o przypadkach, gdy ktoś uwierzył w Jezusa i chce przystąpić do wspólnoty wyznawców, ale na przeszkodzie do chrztu stoi jego wielożeństwo. Mówię tu o ludziach ochrzczonych w dzieciństwie lub takich, którzy w młodości byli katechumenami. Mimo otrzymanej inicjacji chrześcijańskiej zwyciężył w nich „wilczy zew” i w sprawach ożenku wrócili do mocno zakorzenionej praktyki ojców. Przychodzą potem do biura żony takich panów i pytają, czy przynajmniej one mogłyby do Komunii przystępować. Jeśli zjawia się pierwsza małżonka takiego delikwenta, to bywa (bez wdawania się tu w pojedyncze kazusy), że da się zaaranżować uporządkowanie spraw od jej strony i w efekcie można dopuścić ją do sakramentów.



stado krów to „wykup” panny młodej



br. Robert z drużbą na weselu

A nam kapłanom i katechistom wypada trwać jak ten „głos wołający na pustyni” i mówić: – Jesteś Nuerem z urodzenia i wiele z twoich wyborów usprawiedliwiasz tradycją plemienną? Masz ku temu prawo. Ale skoro zdecydowałeś się na chrzest, to wszedłeś równolegle do nowego klanu, jakim jest Kościół. A on jest katolicki, czyli „po całej ziemi”, o wiele większy i liczniejszy niż twoje plemię. I ten nowy klan ma też swoje prawa m.in. równość kobiety i mężczyzny, co wyraża się monogamią. To do ciebie należy dokonanie takich wyborów, by pogodzić wymogi obu klanów.

Do części coś z tego tłumaczenia dociera, do większości raczej nie... Według nuerskiej mentalności idea monogamii obciążona jest zasadniczą wadą: jeśli mężczyzna ma tylko jedną żonę, to znaczy, że coś mu w życiu nie wyszło. Albo jest kaleką, albo cierpi na impotencję, albo jest niezaradny życiowo i brak mu środków na kolejny ożenek. Słowem: monogamia jest dla nieudaczników! I jak tu w duszpasterstwie walczyć z takim stanem mentalnym?

Ale chcę tu wspomnieć o przypadku, który ostatnio ujął mnie za serce. Otóż w biurze zjawiała się para, która postanowiła zawrzeć związek sakramentalny. Właściwie to kobieta przyprowadziła mężczyznę, bo okazało się, że on jest niewidomy. Usiedliśmy na dłuższą chwilę rozmowy. Opowiedzieli o okolicznościach ich chrztów, gdy byli dziećmi w wiosce na południu, skąd pochodzą. Potem o tułaczce aż do Chartumu

w czasach bratobójczej wojny, no i o tym jak rodziny zaaranżowały ich małżeństwo. On dotknięty ślepotą, miły, łagodny człowiek, a ona postawna kobieta o uroczej twarzy.

Poruszył mnie sposób, w jaki ze sobą rozmawiali. Ich opowieść była wzajemnie uzupełniająca się jednorodną relacją. Mąż zaskoczył mnie na koniec, mówiąc wprost, że bardzo jest wdzięczny Bogu za małżonkę, chwalać ją, jaka jest dobra i jak dba o ich pięcioro małych dzieci, które – co podkreślił z dumą – „wszystkie są ochrzczone, albo w Chartumie, albo już tutaj w obozie, bo żona o to osobiście zadbała”. Kobieta skomentowała to bez słów pogodnym, szerokim uśmiechem. „I gdy teraz zaproponowałem jej, żebyśmy zawarli sakrament małżeństwa, zgodziła się z radością” – zakończył. Uzgodniliśmy więc, że ona razem ze starszymi dziećmi ma się przygotować do pierwszej spowiedzi i Komunii św. oraz Bierzmowania, a mąż poczeka cierpliwie na nią ze ślubem parę miesięcy. Prawdziwa miłość istnieje też w Afryce. Beziinteresowne poświęcenie też. Przecież ta ładna kobieta mogła z łatwością znaleźć sobie „lepszą partię”, a jednak dzieli życie z niewidomym!

U nas, nad Wisłą, statystyczny chłopak dąży do tego, by mieć „cztery kółka”, a jego odpowiednik w Afryce – cztery żony. Nasz posiadacz „fury i skóry” w dziecku widzi osobę wypychającą się w jego życie „na gapę”, a po drugiej stronie Sahary dziecko to najlepsza inwestycja, cel i sens podejmowanych w życiu wysiłków. U nas zabezpieczenie na przyszłość to gromadzenie majątku (by ostatecznie gołym iść do grobu) – tutaj to potomkowie zapewniają byt rodzicom na starość, ale i przedłużają egzystencję na wieczność, płodząc kolejne ogniwa w łańcuchu członków klanu.



zdjęcie „Młodych” z biskupem

W Polsce nastolatka marzy o wypasionej komórce na urodziny – jej koleżanka w Afryce stara się o „komplementarną” komórkę, by urodzić. W post-racjonalnym społeczeństwie Zachodu wyjście za mąż po dwudziestce to zmarnowanie perspektyw na karierę, a urodzenie dziecka to już kompletna kotwica w życiu. W prymitywnym społeczeństwie afrykańskim małżeństwo to najważniejsza aspiracja dziewczyny, zaś urodzenie dziecka dopełnia proces stawiania się kobietą.

Coraz bardziej rozchodzą się te nasze dwa różne światy. A ja, misjonarz z Polski, w Afryce stoję nad tym w rozkroku i nie zawsze wiem, co z tym począć?



Victorine (19.05.1941-10.01.2024)

pisze br. Piotr Michalik z Libreville w Gabonie

Misjonarz gdy wyjeżdża do egzotycznego kraju, to wychodzi na spotkanie nieznanego, można by powiedzieć przygody, często bardzo wymagającej, niekiedy nawet niebezpiecznej. Jednak przede wszystkim wychodzi na spotkanie z człowiekiem. Nie takim w beżowym tłumie, nie przedstawicielem danej grupy ludzi («Afrykańczyk») albo jakimś szczególnym przypadkiem (humorystycznym lub tragicznym). Spotykamy konkretnego człowieka z krwi i kości, i wtedy już nie zwraca się uwagi na kolor skóry czy odmienną kulturę. Stoję przed konkretnym człowiekiem z jego historią, często bardzo pogmatwaną, człowiekiem szukającym zrozumienia, zaufania i bliskości oraz szukającym Boga, mimo, że On jest cały czas obecny w jego życiu, ale wcześniej niezauważany.

Chciałbym teraz opowiedzieć Wam o Victorine. Gdy latem 2021 przyjechałem do sanktuarium Notre Dame du Gabon aby przez dwa i pół miesiąca zastąpić kustosa, o. Jarosława, pewnego dnia wezwano mnie bym poszedł z Komunią św. do chorej kobiety. Mieszkała niedaleko od sanktuarium, około dziesięciu minut drogi na piechotę. Była to Victorine Pemba, starsza kobieta, ponad osiemdziesiątkę miała na karku, ale nie za bardzo ten upływ lat było po niej widać. Dystygowana, ale nie trzymała ludzi na dystans, w spojrzeniu i ruchach czuć było jakąś szlachetność.

Nie była bardzo poważnie chora, ale do kościoła nie mogła przyjść. Oczywiście pomodliliśmy się, udzieliłem jej Komunii świętej. Poprosiła potem bym usiadł. Poszła przygotować herbatę i jakieś ciasteczka. Miałem wtedy czas aby rozejrzeć się po pomieszczeniu w którym byłam. Znajdowałem się w małym saloniku umeblowanym skromnie, ale z gustem. Dom, jak na tutejsze warunki, był przeciętny: ani ubogi ani bogaty, ale było tam to, co najbardziej do życia potrzebne.

Przerzucając wzrok z jednego mebla na drugi, w pewnym momencie zauważyłem zdjęcia, które mnie zaintrygowały. Były to stare fotografie, sprzed kilkudziesięciu lat. Na jednym była młoda, piękna kobieta, a na drugim małe dzieci odrabiające zadanie w szkole. To co mnie zdziwiło, to fakt, że większość dzieci była rasy białej. To mi uzmysłowiło, że Gabon był kolonią (a zdjęcie było z czasów kolonialnych), gdzie obecność Francuzów w metropolii była bardzo duża (i tak pozostało do dziś). Gdy w końcu Victorine wróciła z kuchni i przysiadła na fotelu obok, zapytałem ją o te zdjęcia. Ta piękna młoda kobieta to była oczywiście ona, a na zdjęciu ze szkoły w pierwszej ławce siedział jeden z jej synów. Przyglądając się tym fotografiom, zastanawiałem się jaką historię życia ludzkiego kryją te zdjęcia: radość, smutek, szczerść, intrygę...



br. Piotr z Victorine

Rozmawiając z Victorine w czasie tego spotkania i kolejnych, nie wypytywałem jej natarczywie o historię życia, ale temat ten był obecny. Pochodziła z okolic Lambaréné. Lambaréné, to miejscowość oddalona około 200 kilometrów od stolicy kraju, która jest znana przede wszystkim z tego, że to właśnie tam w 1913 roku Albert Schweitzer (1875-1965), alzacki pianista, pastor i lekarz, założył i prowadził szpital aż do swojej śmierci. Przez Lambaréné przepływa największa rzeka Gabonu – Ogooué. Spływając w kierunku oceanu, rzeka w niektórych miejscach rozlewa się tworząc duże jeziora. To tam, na jednej z wysepek jest ojcowizna Victorine. Tam spędziła dzieciństwo i cała wyspa należy do niej. Do obecnych czasów ma tam swój domek. Oczywiście zaprosiła mnie by odwiedzić wyspę, gdy odzyska siły i będzie okazja... A że takie krajobrazy mnie urzekają, od razu mi się oczy zaiskrzyły na taką możliwość...

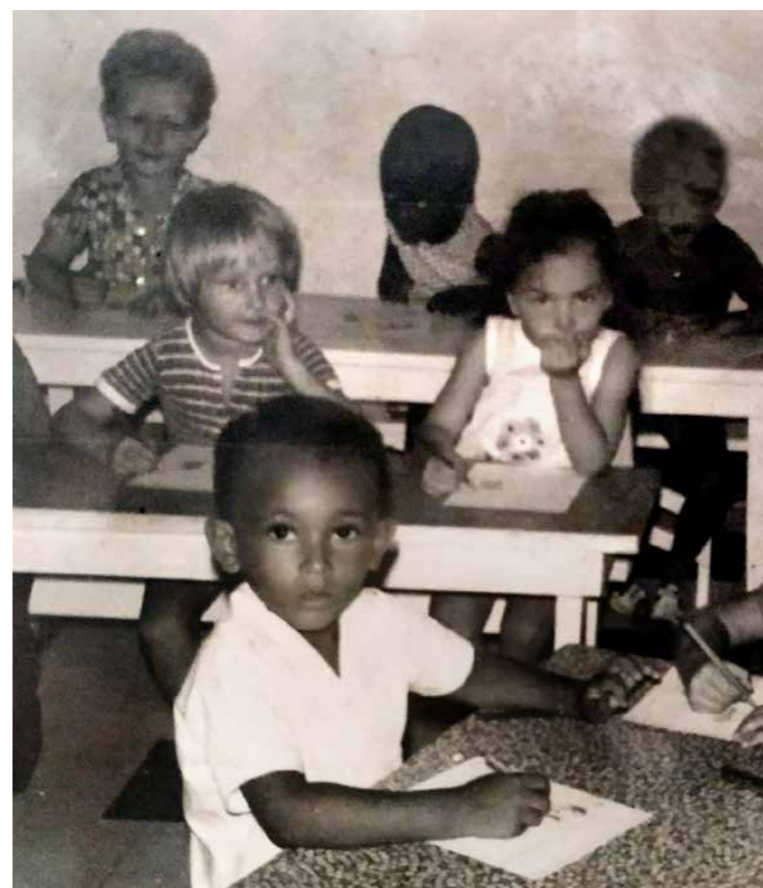
Gdy powróciłem do Cocobeach, od czasu do czasu dzwoniła do mnie, zapraszała do siebie gdy będę w stolicy. Raz czy drugi byłem u niej. I wtedy dowiedziałem się, że zdiagnozowano u niej nowotwór jelita grubego. Leczyła się, była nawet w Tunezji na chemio i radioterapii. Ale wszelkie leczenie nie przynosiły spodziewanego skutku. Powoli chu-

dła, choć nie skarżyła się, na jej twarzy coraz bardziej było widać cierpienie. I wtedy przyszedł kolejny cios. Francois, jej syn, który najbardziej się nią opiekował, nagle po krótkiej chorobie zmarł na...Covid 19. Bardzo źle to przeżyła... W czasie naszych spotkań coraz częściej prosiła o spowiedź. Do jednej z pierwszych, długo się przygotowywała. Raz gdy przyszedłem to powiedziała że nie jest jeszcze gotowa... Byłem świadkiem jak bardzo potrzebowała tego sakramentalnego pojednania z Bogiem a jednocześnie nie było to dla niej łatwe... Naprawdę Bóg jest Miłością...

A w międzyczasie niktła w oczach. Z powodu problemów z przyjmowaniem pokarmów wyjeżdżała co 2 tygodnie do szpitala, gdzie dzięki kroplówkom odzyskiwała trochę sił, a po powrocie do domu traciła to, co zyskała w szpitalu. I na nowo do szpitala... I tak w kółko... Aparat który na piersi wszyli jej pod skórę oraz rurka (też wszyta) biegnąca od tego aparatu do szyi były coraz bardziej widoczne pod wysuszoną skórą. Pewnego dnia Lynda, jej sąsiadka, która jako dziecko wielokrotnie przebywała u Tonine (tak zdrobniale nazywano Victorine), poprosiła mnie bym pojechał do niej do szpitala z sakramentem chorych. Tym razem nie była w pobliskim szpitalu wojskowym, ale na oddziale onkologii innego szpitala na odległych przedmieściach za lotniskiem. Gdy weszliśmy na salę gdzie leżała, od razu widać było, że stan jej zdrowia był bardzo poważny: kroplówki, tlen, dużo rurek... Sama Victorine już nie mogła mówić, oddychanie sprawiało jej wiele trudności. Była w takim stanie już od trzech dni. Była jednak świadoma i gdy zobaczyła mnie



Victorine w młodości



pamiątkowe zdjęcie syna Victorine

wchodzącego do sali, widać było na jej twarzy ulgę... Jakby czekała tylko na mnie, a właściwie na Boga by pojednać się jeszcze raz w Nim i razem z Którym chciała się przygotować na ten najważniejszy moment w życiu człowieka, jakim jest przejście z tego świata do naszej prawdziwej ojczyzny...

Gdy udzieliłem jej sakramentu chorych, na dobrą minutę jej oddech stał się spokojny, głęboki, w oczach dało się odczytać odzyskany pokój. W tym momencie zrozumiałem: siłą woli i wiary przedłużała swoje życie tylko po to by przed śmiercią po raz ostatni i definitywnie pojednać się z Bogiem. W tym momencie pewnie w swoim sercu mówiła jak Symeon: «Teraz, o Panie, pozwól odejść swemu słudze w pokoju...» (Łk 2,29). Gdy przed wyjściem żegnałem ją, widziałem w jej oczach smutek – wiedziała, że tu na ziemi już się nie spotkamy. I rzeczywiście, kilka godzin później otrzymałem wiadomość że odeszła. Już nic nie trzymało jej na ziemi, była gotowa na spotkanie z Panem.

Na pogrzebie, który miał miejsce kilka tygodni później (cały klan musi się zgadnąć...) – przyszyły tłumy ludzi. Nawet przed niedzielną Mszą św. nie ma tylu samochodów przed sanktuarium, ile było na tym pogrzebie. Wtedy, i na Mszy św. w 40 dni po śmierci, odkryłem, że w jej rodzinie było sporo mulatów czy wręcz białych osób. Miała jeszcze sporo sekretów, których nie zdążyła, albo którymi nie chciała się ze mną podzielić... Być może kiedyś, gdzieś tam, dokończy mi swoje opowiadanie... Tonine, odpoczywaj w pokoju. Amen.

Pozdrawiam Was serdecznie,
br. Piotrek

Przygoda ze szkołą św. Franciszka

pisze br. Robert Wnuk OFM Cap, proboszcz parafii w Ndżamenie w Czadzie ●●●●●●●●



W naszej parafii św. Franciszka w Ndżamenie od kilku miesięcy jest wiele zamieszania z powstaniem katolickiej szkoły podstawowej. Ale jest to zamieszanie bardzo pozytywne. W każdej parafii w naszej diecezji, według miejscowego biskupa, ma być szkoła katolicka. I to stało się powodem zamieszania. Chcemy wybudować szkołę i rozpocząć nauczanie naszych dzieci w duchu katolickim, myśląc szczególnie o najuboższych, pozbawionych możliwości uczenia się.

„I have a dream...”

Myśl o szkole pojawiła się w mojej głowie w grudniu poprzedniego roku po rozmowie z biskupem, który wspominał o terenie przy naszej parafii. To pragnienie o szkole doszło do uszu ludzi z naszego parafialnego Caritasu, którzy podjęli pomysł i zaczęli owocnie zastanawiać się nad nowym projektem. Ktoś kiedyś powiedział: „Kluczem do szczęścia jest posiadanie marzeń, kluczem do sukcesu jest ich realizacja”. Teren od biskupa został nam oficjalnie przekazany 17 kwietnia 2024 roku, jako część naszej parafii. Od tego dnia zaczęły się powolne ale stałe przygotowania, dyskusje i planowanie. Zaczęliśmy też sadzenie drzew na tym terenie (do tej pory było to pole z ryżem). Za parę lat drzewa będą dawały cień i staną się schronieniem przed słońcem. Na początku czerwca, po dniu rekolekcji na temat działalności i zaangażowania Caritasu, powstał niewielki prowizoryczny komitet techniczny, który miał pracować nad przygotowaniem wszystkiego co jest potrzebne do rozpoczęcia szkoły jeszcze w tym roku. Sen staje się rzeczywistością.

Dobre chęci...

Pewne przysłowie mówi, że dobrymi chęciami jest wybrukowane piekło. Ale nie w naszym przypadku. Dobre chęci to zaangażowanie „na całego” i wola działania. Chcesz zbudować szkołę - znajdź dobrych ludzi. Tak jest w naszym przypadku. Wkrótce rozpoczęcie roku szkolnego, a my nie mieliśmy nic, tylko dobre chęci. I to stało się naszą siłą, naszym motorem do wzięcia sprawy w swoje ręce. Chęć zbudowania czegoś, co posłuży dzieciom i później młodzieży z naszej parafii, ma w sobie wiele potencjału. Ma powstać katolicka szkoła św. Franciszka i to my ją zbudujemy. Stanęli-



logo szkoły im. św. Franciszka



nowe meble do nowej szkoły

śmy przed takim wyzwaniem. Na początek było trochę papierkowej pracy, studiowanie dokumentów o nauczaniu, fachowcy w dziedzinie dawali swoje uwagi i sugestie. Cotygodniowe spotkania osób zaangażowanych w powstanie szkoły, wymiana myśli i propozycji co jak i kiedy, szukanie rozwiązań i różne konsultacje sprawiły, że projekt szkoły stawał się coraz bardziej realny. Na początek trzeba było przedstawić temat naszym wspólnotom (CEB – communauté eclesiale de base), bo to one mają pierwszy kontakt z rodzicami w dzielnicach naszej parafii. W sumie nie trzeba było nikogo mobilizować, bo wiadomość wzbudziła wiele zainteresowania i rodzice z entuzjazmem i radością zechcieli uczestniczyć w tym wielkim projekcie.

Opatrzność Boża jest zawsze na czas

Św. Ojciec Pio mówił: „Bezgranicznie zawieram się Bożej Opatrzności, ale również Opatrzność chce, aby jej pomagały nasze ogromne wysiłki”. Mamy chęci i dobrą wolę, ale potrzebne są środki materialne na przygotowanie klas i wyposażenie ich



każdy uczeń nosi mundurek szkolny

dla najmłodszych. Rozpoczęliśmy w międzyczasie szukanie środków materialnych na początek funkcjonowania szkoły. Rozdawaliśmy prośby o finansowanie szkoły osobom prywatnym, naszym chrześcijanom, nie tylko katolikom. Robiliśmy zbiórki w niedzielę, a ludzie dobrowolnie składali ofiary. Ku naszemu zaskoczeniu i radości (Opatrzność Boża jest zawsze na czas), ofiarność ludzi i zaangażowanie przerosło nasze oczekiwania. Zebraliśmy pokaźną sumę na rozpoczęcie naszej upragnionej szkoły. Rodzice ponad stu dwudziestu dzieci wyrazili chęć zapisania swoich pociec do szkoły. Wielkie i małe rzeczy, pełno drobiazgów, detale co do budżetu, trzeba wszystko przewidzieć. Chcemy rozpocząć szkołę dla dzieci od piątego roku życia (pré – CP i CP). Jako, że mamy sporo miejsca przy kościele, pojawiła się myśl, że w tym roku, zanim ostatecznie przeniesiemy się na nowy teren, rozpoczniemy szkołę w prowizorycznych salach, specjalnie do tego wybudowanych, przy samej parafii. W tym roku chcemy otworzyć trzy klasy, po około 40 dzieci w każdej.



komitet organizacyjny nowej szkoły

Ktoś kiedyś mówił, że „ze szczęściem czasami bywa tak, jak z okularami, szuka się ich, a one siedzą na nosie”. Nasze szczęście i radość z tego aby mieć własną, parafialną szkołę, uczęszczać do niej, udzieliło się całej parafii. Nasza parafia ma dopiero cztery lata, (istnieje od 4 października 2020 roku) i pracujemy nad jej budową, w tym ciągłą budową kościoła, sal parafialnych, itd. Pragnienie otwarcia nowej szkoły spotkało się z wielkim uznaniem, radością i zaangażowaniem wszystkich. Własnymi środkami kończymy budowę trzech szkolnych sal. Były z tym niemałe przeboje, bo wybudowane ściany przewróciły się podczas jednej ze straszliwych burz z huraganem i trzeba było je na nowo odbudowywać. Ale udało się i teraz są one zabezpieczone i stabilne. Potrzebne jest jeszcze ich wykończenie. Chcemy też upiększyć naszą

szkołę kilkoma rysunkami na ścianie, by dać dzieciom poczucie piękna i sprawić, że często szare dzieciństwo można przeżywać inaczej. Zakupiliśmy część podręczników, kilkanaście ławek i krzesła dla najmłodszych a zainteresowanie rozwojem szkoły wciąż rośnie. W sierpniu szukaliśmy nauczycieli i aż 12 osób złożyło prośbę o rozpatrzenie ich podań o pracę jako nauczyciele i wychowawcy. Jest radość. Na chwilę obecną przyjęliśmy czterech nauczycieli. W sierpniu też rozpoczęliśmy zapisy dla dzieci. Przy zapisach za szkołę płaci się, bo niestety państwo nie jest w stanie zabezpieczyć darmowej edukacji. Czesne pozwoli nam na wypłatę wynagrodzeń dla nauczycieli. Jak na razie nie wiem czy wystarczy nam środków do końca roku szkolnego, ale nauczyciele już wyrazili zgodę, że w razie braku funduszy, nie będą oni mieć żadnych pretensji, bo najważniejsze jest dobro dzieci. Czy to nie może cieszyć? Ale przecież Opatrzność Boża jest zawsze na czas.

Szkoła otwarta dla wszystkich w duchu św. Franciszka

Św. Franciszek, patron szkoły, ucieszy się bardzo, bo uroczyste jej otwarcie odbędzie się 6 października tego roku. Będzie to święto parafialne naszej parafii i jednocześnie dzień otwarcia i błogosławieństwa szkoły przez naszego arcybiskupa Edmonda. Dzieci i nauczyciele już z niecierpliwością wyczekują na ten dzień. Już mają swoje mundurki, specjalne dla szkół katolickich, dla chłopców i dziewczynek z logo naszej szkoły. Szkoła jest i będzie otwarta dla wszystkich. Ndżamena, stolica Czadu jest wielokulturowa i wielowyznaniowa. Katolicy, protestanci, muzułmanie i wiele różnych wspólnot wyznaniowych znajdą miejsce w szkole pod patronatem św. Franciszka. Dlatego przy zapisach do szkoły nie pytamy się o wyznanie, ale przyjmujemy wszystkich, aby móc wychowywać i kształcić dzieci i młodzież w duchu solidarności i współpracy na rzecz dobra i pokoju dla wszystkich.

Opatrzność działa w nas

Jeśli dobry Bóg inicjuje pomysły to posyła dobrych ludzi i zawsze daje siłę do ich realizacji. Myślę, że tak jest i w przypadku naszej nowej szkoły. Otwartość ludzi, wyczuwanie na dobro, wrażliwość na los najuboższych i pragnienie niesienia pomocy i dzielenia się, stały się naszą siłą i są wyrazem dobroci samego Boga, który o nas nie zapomni. W to dobro i jego szerzenie włączyła się aktywnie Fundacja Kapucyni i Misje. Otrzymałaliśmy już od niej pewną pomoc na szczęśliwe rozpoczęcie naszej szkoły, więc wszystkim ofiarodawcom, dobrodziejom bardzo dziękuję. Jest to widzialny znak, że Boża opatrzność działa przez nasze ręce. Pomimo dużego zaangażowania wiernych w parafii, nie jesteśmy w stanie sami prowadzić tej szkoły. Potrzebujemy wsparcia z zewnątrz. Dlatego prosimy wszystkich, którym leży na sercu edukacja dzieci w Afryce o wsparcie naszej pięknej inicjatywy. Bóg zapłać. Będziemy Was informować o dalszych postępach i prosić o wsparcie kolejnych etapów tego projektu. Dziękuję i pozdrawiam serdecznie z Ndżameny w Czadzie, proboszcz parafii św. Franciszka z Asyżu,

brat Robert Wnuk, kapucyn, misjonarz



Barwy Kościoła w Afryce

pisze br. Tomasz Światała OFM Cap, proboszcz parafii w Bocaranga, RŚA ●●●●●●●●

Wyjechałem do Afryki w 2012 r. i zostałem misjonarzem. Misjonarz to ktoś, kto został posłany, aby sprawować sakramenty tam, gdzie brakuje szafarzy sakramentów. To jest nasze najważniejsze zadanie, oprócz głoszenia Słowa Bożego. W tym zakresie nikt nas nie zastąpi. Pierwszym sakramentem, bramą wszystkich pozostałych, jest chrzest święty. Poświęcamy mu najwięcej uwagi, ponieważ to od niego zaczyna się budowanie wspólnoty Kościoła. W Polsce chrzci się – z zasady – małe dzieci, niemowlaki, natomiast w Afryce jest inaczej. W zdecydowanej większości do chrztu przystępują tam katechumeni, osoby na tyle dojrzałe, że same decydują o przyjęciu chrztu, czyli wstąpieniu do wspólnoty Kościoła. Katechumeni to nie tylko osoby dorosłe, ale także dzieci i młodzież. Są też i tacy, którzy uczestniczą w życiu parafii, chodzą do kościoła, ale nie są jeszcze gotowi, aby przyjąć chrzest. Po podjęciu decyzji katechumen – najczęściej dziecko, które ma co najmniej osiem lat – rozpoczyna proces formacyjny, który trwa trzy-cztery lata. Do chrztu przystępują jako jedenasto-dwunastolatki, a więc już jako osoby w miarę dojrzałe, świadome i odpowiedzialne. Rzadko się zdarza, że rodzice – już o utwierdzonej i bardzo dojrzałej wierze – przynoszą do chrztu świętego swoje nowonarodzone dzieci. Dodam, że corocznie udzielamy w naszej parafii dość dużej liczby sakramentu chrztu św., bo około pięćset.

Ponieważ tych grup przygotowujących się do chrztu jest wiele, a misjonarzy mało, za formację katechumenów odpowiadają katechiści, wcześniej przygotowani w szkołach dla katechistów. Przez cztery lata realizują oni program katechetyczny z podręczników. Zdarza się, że do chrztu przystępują także osoby dorosłe, które są przygotowywane oddzielnie, znacznie krócej: rok lub dwa lata. Są to ci wszyscy, którzy wcześniej nie podjęli decyzji wejścia do wspólnoty Kościoła, którym życie się tak układało, że dopiero w wieku dojrzałym chcą spotkać się z Jezusem w sakramencie chrztu świętego.

Wśród katechumenów zdarzają się także protestanci wielu denominacji: baptyści, luteranie, ewangelicy. Jestem szczególnie czuły w takich sytuacjach. Nigdy nie namawiamy protestantów, aby przyjęli wiarę katolicką. Żyjemy w Bocaranga w społeczności wieloreligijnej, wielokulturowej. Bardzo dbamy o to, aby relacje między katolikami a protestantami, a także i muzułmanami były dobre. Oczywiście nie odmawiamy tym, którzy z różnych względów chcą przystąpić do wspólnoty Kościoła katolickiego. Są wśród nich m.in. kobiety, które wychodząc za mąż, przyjmują religię swojego męża. Bywa też i odwrotnie: kiedy katoliczka, wychodząc za mąż za protestanta, przyjmuje jego wiarę. W Afryce nie ma równouprawnienia. Kobieta nie może o wielu sprawach

decydować. W tej sytuacji nie można mówić o zdradzie Kościoła, czy tym bardziej apostazji. Dla tych, którzy przychodzą do nas z Kościołów protestanckich też jest katecheza, chociaż chrzest święty przyjęty w tych kościołach jest ważny i uznawany przez Kościół katolicki. Trzeba jednak wykazać te różnice, które są istotne dla Kościoła rzymskokatolickiego.



br. Tomasz udziela sakramentu chrztu św. w kościele w Bocaranga

Przygotowanie do sakramentu chrztu trwa zwykle kilka lat. Pierwszy rok przeznaczony jest na naukę modlitwy, drugi na studiowanie Pisma Świętego oraz przekazanie podstawowych informacji o Kościele, zaś rok trzeci dotyczy sakramentów, w tym także sakramentu Eucharystii. Trzeba zaznaczyć, że w afrykańskiej rzeczywistości jest tak, że równocześnie katechumeni są chrzczeni i przystępują do pierwszej Komunii świętej.

Po sakramencie chrztu św. i pierwszej Komunii św. przychodzi czas na bierzmowanie. Różne są praktyki duszpaster-

skie jeżeli chodzi o okres między przyjęciem chrztu świętego a bierzmowaniem. Czasami jest to rok, czasami dłużej. Chodzi o to, aby nowo ochrzczony trochę pożył we wspólnocie, pokazał owoce swojej wiary, swoje zaangażowanie. Żeby widać było go na każdej niedzielnej Mszy św. Wszak bierzmowanie to sakrament chrześcijańskiej dojrzałości, aby się do niego przygotować, należy także uczestniczyć w katechezach, których celem jest pogłębienie zdobytej wcześniej wiedzy.

Ale wróćmy jeszcze do chrztu św. i Eucharystii. Dwa sakramenty w tym samym czasie to w polskiej rzeczywistości sytuacja rzadko spotykana. W Afryce połączenie tych dwóch sakramentów wywołuje moje duszpasterskie dylematy. Czasami rozłączam przystąpienie do tych dwóch sakramentów, aby nie został przyćmiony sakrament Eucharystii, w czasie którego przyjmujemy do serca samego Boga. To jest niezwykle ważny moment w życiu chrześcijanina. Włączenie młodych ludzi do wspólnoty Kościoła przez chrzest święty, jest okazją do wielkiego świętowania. To dla nich i ich rodzin powód do wielkiej radości, którą wyrażają poprzez taniec, śpiew i wznoszenie okrzyków. Tę nadzwyczajność chwili podkreślają także strojem. Pod koniec liturgii chrzcielnej każdy otrzymuje krzyżyk jako znak chrześcijanina. Potem wychodzą do zakrystii lub przed kościół i tam przebierają się w biały strój. W tym czasie wierni śpiewają radosne pieśni. Nowo ochrzczeni, cali ubrani na biało, są procesyjnie wprowadzani do świątyni. Jest to widok bardzo wzruszający. Czarne twarze i czarne ręce kontrastujące z bielą ubioru sprawiają dodatkowe, niezatarte wrażenie. Trzeba też po-

wiedzieć, że niektórzy rodzice zapożyczają się, aby uszyć swoim dzieciom strój, który nie jest tani. Noszą go potem nie tylko w czasie Eucharystii, ale na co dzień, póki z niego nie wyrosną. Ten biały strój traktują specjalnie, jako wyróżnienie. Są dumni, że mają prawo go nosić. To jest bardzo wyraziste, wizualne i także efektowne. To jeden z kolorytów Kościoła w Afryce.



krzyże symbolizują przyjęcie chrztu świętego

Nowo ochrzczeni są również niezwykle dumni z krzyżyków otrzymywanych w czasie liturgii chrztu świętego. Niektórzy chcieliby mieć takie duże krzyże, jakie widzą na piersiach misjonarzy. Noszą te swoje krzyżyki z dumą, bo to jest znak ich pełnoprawnej przynależności do wspólnoty Kościoła. Są wierni temu znakowi, nie mają poczucia wstydu.

zdjęcie wspólne po sakramencie chrztu w Bocaranga





Te krzyżki wyróżniają ich od katechumenów, którzy mają prawo nosić jedynie medaliki.

Formacja przygotowująca do chrztu św. trwa zwykle trzy lata, ale może trwać i dłużej. Każdy z trzech etapów procesu formacyjnego kończy się egzaminem. Szkołą katechiści, ale egzaminują misjonarzy. Trzeba sprawdzić na jakim etapie są katechumeni, jaka jest ich wiedza religijna. Czy potrafią porządnie się przeżegnać prawą ręką? Czy znają podstawowe modlitwy i prawdy wiary? Oczywiście, miłosierdzie egzaminatorów i chęci egzaminowanych też są brane pod uwagę, ale nie ma zbytniego pobłażania, szczególnie jeżeli chodzi o dzieci. Ci, którzy nie zdają egzaminu, muszą powtórzyć dany etap. Formacja intelektualna i duchowa jest niezwykle ważna. Dlatego też z katechumenami trzeciego etapu ja osobiście prowadzę co jakiś czas zajęcia. Mam wtedy sposobność poznać kandydatów przystępujących do pierwszego sakramentu. Poznają stan ich wiedzy religijnej. Co dwa tygodnie sprawuję tylko dla tej grupy Mszę św., także i po to, aby przygotować ich do właściwego przeżywania Eucharystii. Jako pełnoprawni (wkrótce) członkowie Kościoła muszą wiedzieć, jak się zachować w czasie liturgii, jak w niej uczestniczyć, jak reagować i co odpowiadać na słowa kapłana. Niedzielną Eucharystia to jest wielkie święto, które w sposób szczególny jest przeżywane przez Afrykańczyków. Przez sześć dni w tygodniu moi parafianie chodzą do pracy, najczęściej w polu. Są ubrani – można powiedzieć - bardzo ubogo. Za to w niedzielę zmieniają się nie do poznania. Mają



sakrament chrztu św. w wiosce Gbadog

Eucharystia celebrowana jest powoli, długo, bez żadnego pośpiechu. W sytuacji kiedy moi wierni przez wiele godzin przygotowywali się do niedzielnej Eucharystii, nie może ona trwać krótko. Kazanie zbyt krótkie mogłoby być przyjęte jako wyraz lekceważenia. Samo procesyjne wejście do kościoła też trwa i trwa, bywa że i osiem minut. Ministranci idą tanecznym krokiem: trzy do przodu, dwa do tyłu. Dalej tancerki. Potem ja – w habicie, albie, ornacie, spocony z powodu grzejącego słońca, pot spływa mi po plecach. Idę do ołtarza, okadzę go. W tym czasie wierni śpiewają. Skończyłem okadzać, oni śpiewają nadal. Nie ma mowy o żadnym przerywaniu tego radosnego śpiewu, a później i tańca. Ludzie chcą śpiewać, tańczyć, radośnie przeżywać Mszę świętą. Nie są zniecierpliwieni, nie znają pośpiechu. W tej sytuacji niedzielna Eucharystia trwa do dwóch godzin. Jeżeli jest połączoną z chrztem lub jest jakaś inna szczególna okazja, może trwać ponad trzy godziny. Obowiązkowo Msza św. musi być ekspresyjna – dużo śpiewu, cały kościół faluje od ruszających się wiernych. Kiedy patrzę na nich od ołtarza, kiedy widzę ten nieprawdopodobny dynamizm, to myślę, że jestem wśród nich obcym elementem.

Afrykańczycy mają w sobie wrodzony rytm, już w łonie matki tańczą. Widać to nie tylko w kościele. Wieczorami – szczególnie, gdy jest pełnia – zbierają się przy ognisku. Śpiewają i tańczą. Matki mają swoje dzieci w chustach na plecach. Nie zostawiają dzieci w domu. I te dzieci – często na wpół śpiące – siłą rzeczy także tańczą ze swoimi mamami. Tańczą też mamy w stanie błogosławionym, a ich jeszcze nienarodzone dzieci czynią to również. Tańczą w łonach swoich matek. To jest piękne. I nie ma w tym nic nadzwyczajnego... Tak mówią słowa psalmisty: „Służcie Panu z weselem. Wśród okrzyków radości stawajcie przed nim!” Teraz lepiej rozumiem psalmy, którymi modlimy się od lat. Jest w nich motyw Dawida tańczącego przed Arką. Taniec nie jest obcy liturgii. Dla Afrykańczyków jest on formą religijnej ekspresji. Jest wyrazem ich pobożności, a nawet wiary. Jest przejawem ich relacji z Panem Bogiem. My, Europejczycy, potrzebujemy raczej wyciszenia, aby spotkać się z Panem Bogiem, mieszkańcy Afryki potrzebują śpiewu, tańca, ekspresji.



namaszczenie olejem Krzyżka

niedzielne ubrania, niedzielne buty, kobiety dodatkowo mają niedzielne fryzury. Jeżeli w niedzielny poranek jedzie się przez wioski, to widać na progu każdego domu ludzi szorujących jakimś kamieniem czy pumeksem swoje pięty. Ludzie się myją, a potem kremują całe swoje ciało. Myją się, bo przecież za chwilę idą do kościoła. Można powiedzieć, że tak umyć, wykremowani, elegancko ubrani wyglądają po prostu ślicznie. Przed wejściem do kościoła czyszczą sobie jeszcze buty z kurzu lub – w porze deszczowej – z błota. To zewnętrzne przygotowanie do niedzielnej liturgii jest niezwykle ważne. Jest wyrazem szacunku.



Misjonarz na wakacjach

pisze br. Maciej Jabłoński OFM Cap, proboszcz parafii w Ngaoundaye w Republice Środkowoafrykańskiej

Bracia kapucyni posługujący na misjach w takich krajach świata jak Algieria, Czad, Gabon, Sudan Południowy i Republika Środkowoafrykańska przylatują na urlop do Polski raz na dwa lata. Tak jest też w moim przypadku, by jak to sam Jezus powiedział w Ewangelii: „odpocząć nieco”. Zazwyczaj misjonarze opowiadają o swoim zaangażowaniu w duszpasterstwa na Czarnym Lądzie, o pracy pastoralnej, dziełach socjalnych, czy sytuacji socjopolitycznej krajów, w których żyją. W niniejszym artykule, będę chciał opisać Wam coś innego: przygotowania i przebieg mojego czasu odpoczynku.



br. Maciej w Bimbo z nowicjuszami przed wylotem

Do Polski przyleciałem w tym roku 4 czerwca, jednak przygotowania do urlopu zaczęły się dużo wcześniej.

Po pierwsze, prowadząc rozliczne dzieła i projekty finansowane dzięki środkom pozyskanym od Fundacji Kapucyni i Misje, zwłaszcza poprzez zbiórkę „Wyślij paczkę do Afryki”, co jakiś czas trzeba się z nich rozliczyć. Dlatego już dwa miesiące przed urlopem, podkasałem rękawy, by uporządkować dokumentację dotyczącą zrealizowanych projektów. Trzeba było poukładać faktury, podliczyć by każdy grosz się zgadzał, zrobić zdjęcia dokumentujące wykonane prace, aby wszystko było jak najbardziej transparentne. Powiem szczerze, męcząca jest ta biurokracja, ale wiem, że jest ważna i konieczna.

Dalej musiałem przejrzeć samochód, tak, by nie było niespodzianek na drodze, wszak z Ngaoundaye, do stolicy RSA

- Bangui mam 700 kilometrów, co oznacza dwudniową wyprawę, głównie po drogach, które mogą bardziej kojarzyć się z off road, niż z autostradą. Niestety, pomimo przygotowań, mieliśmy małe problemy z zawieszeniem, a już będąc w Polsce dowiedziałem się, że w drodze powrotnej na misję zawiodły wtryski w silniku i samochód odmówił posłuszeństwa.

Po przyjeździe do stolicy musiałem odwiedzić wiele urzędów i dopełnić liczne formalności. Trzeba było odnowić wizę do Republiki Środkowoafrykańskiej, by nie mieć problemów na lotnisku. Uplłynął termin ważności mojego prawa jazdy, więc musiałem przejść kolejną przeprawę biurokratyczną w Ministerstwie Transportu, bo tylko tam, w stolicy, można wyrobić rzeczony dokument. Trochę zachodu przy tym było, ale finalnie udało mi się wszystko załatwić. Przydała się sztuka negocjacji i wdzięk osobisty.

Na tym przygotowania do wylotu na urlop jeszcze się nie skończyły. Pobyt w stolicy jest okazją do zrobienia zakupów pamiątek. Wielu z czytających ten artykuł, ma w domu pamiątki z Afryki. Nie spadają one z nieba, lecz przylatują w walizkach misjonarzy. By się tam znalazły, trzeba pojechać na specjalny bazar rękodzielniczy, by zakupić je u źródła - u lokalnych artystów. A zakupy, to kolejna, niekiedy wielogodzinna, seria negocjacji i targowania się. Później jeszcze pakowanie walizek i wtedy dopiero byłem gotowy do podróży.



silna ekipa misjonarzy na wakacjach

Podróż do Polski składa się z kilku części. Najpierw jest sześć godzin lotu z Bangui do Paryża. Na lotnisku Charles de Gaulle następuje krótka przerwa, wystarczająca by znaleźć czas na Eucharystię, a później zjeść małe co nieco. Następnie dwie i pół godziny lotu z Paryża do Warszawy. Pierwsze doświadczenie po wyjściu z samolotu w Polsce - to zimno..., podobny szok temperaturowy jest po przylocie do Bangui, gdzie przy schodzeniu na płytę lotniska uderza fala gorąca. Na lotnisku w Warszawie odebrali mnie przyjaciele, szybka kawa i kanapka, trochę rozmowy, i powoli zaczęło do mnie docierać, że jestem już w kraju. Wieczorem miałem jeszcze pociąg do Krakowa. Omal nie przespałem stacji, bo wydawało mi się, że skoro jest tak jasno na dworze, to jeszcze daleko do godziny 20, czyli planowanego przyjazdu. Jestem przyzwyczajony do zupełnej ciemności o godzinie 20, bo w Ngaoundaye wschód słońca jest przez cały rok mniej więcej o 6 rano, a zachód o 18. Na szczęście zdążyłem wysiąść z pociągu i spotkałem czekającego na peronie br. Jerzego Steligę, naszego sekretarza misyjnego, z którym pojechaliśmy do klasztoru w Krakowie - Olszanicy.

Pierwsze dni w Polsce związane były z niemiłą niespodzianką zdrowotną. Odzwyczaiłem się od naszego jedzenia, co zaowocowało strajkiem układu pokarmowego i „zemstą faraona”, choć chyba celniej byłoby powiedzieć Smoka Waleńskiego. Choroba tak mnie osłabiła, że jeszcze uaktywniła mi się malaria ... było słabo. Na szczęście, dzięki lekowi stanąłem na nogi.



br. Maciej z rodziną i przyjaciółmi

Po pobycie w Krakowie pojechałem do rodzinnego Wałcza, by spędzić kilka dni z rodziną. Wiadomo, że takie spotkanie po dwóch latach jest bardzo miłe. Nie zabawiłem jednak w Wałczu zbyt długo, bo jak przyjaciele mówią, nie potrafię usiedzieć w jednym miejscu. Rozpoczął się czas moich podróży po Polsce, głównie w celu prowadzenia niedzielnych misyjnych.

Niedziela misyjna to czas, który misjonarz spędza w parafii do jakiej został zaproszony, aby poprowadzić animację misyjną, głównie poprzez kazania i rozmowy po Mszach świętych. Jest to również czas proszenia o pomoc material-

ną, finansową na realizowane dzieła. Kilka słów o tym. Po pierwsze jestem zaskoczony otwartością Polaków na słuchanie o misjach i na wsparcie różnych potrzeb misji. Dość powiedzieć, że „wakacyjną marszrutę”, miałem ułożoną i zaplanowaną w ciągu 24 godzin, to znaczy w ciągu doby miałem wypełniony grafik wizyt w rozlicznych parafiach na terenie całej Polski. Wystarczyło rzucić hasło, że mogę przyjechać i opowiedzieć co robię w Afryce, a proboszczowie, parafianie, natychmiast zaczęli zgłaszać się zapraszając mnie do siebie. Wszędzie gdzie byłem doświadczyłem ogromnej gościnności, życzliwości, pomocy i zainteresowania pracą misjonarzy i codziennym życiem ludzi, dla których posługujemy na co dzień. Połało się wiele łez wzruszenia, usłyszałem wiele ciepłych słów i zapewnień o modlitwie. Gdziekolwiek byłem doświadczyłem także hojności Polaków, którzy szczerze dzielili się pieniędzmi, chcąc w ten sposób pomóc w potrzebach materialnych związanych z pracą misyjną.

W czasie urlopu udało się mi również spędzić kilka dni z misjonarzami, którzy akurat przebywali na wypoczynku lub leczeniu w Polsce. Spotkaliśmy się w Gdańsku, w naszym domu zakonnym. Dla mnie to przede wszystkim był czas bycia razem, dzielenia się doświadczeniami, czas wspólnej modlitwy. Była też okazja do plażowania, wizyta na porcie w Gdyni i Muzeum Marynarki Wojennej, był czas na wieczorne spacerki po gdańskiej starówce. Było świetnie.

W ramach wyjazdów na animacje misyjne byłem także na dożynkach w Markowiznie. To jest mała miejscowość na Podkarpaciu, gdzie mieszka część mojej rodziny. Dzięki nim miałem okazję zacerpnąć czegoś z polskiego folkloru. Były instalacje z bali słomy, Msza św. dożynkowa, przejazdy pomiędzy domami korowodów dożynkowych z wieńcami, biesiada. Ach, piękna ta nasza Polska z jej tradycjami...



na dożynkach w Markowiznie

Powoli zbliżam się do daty powrotu do Republiki Środkowoafrykańskiej. Od jakiegoś czasu tęsknię już za tą „moją” Afryką, ale jestem przede wszystkim wdzięczny Panu Bogu i spotkanym ludziom za ten piękny czas urlopu i odpoczynku. Wszystkim, za wszystko dziękuję! Pokój i dobro.

Kupując kawę pomagasz dzieciom w Afryce

ZAPRASZAMY do sklepu: www.sklep.kapucyni.pl
tel. 12 623 60 50 wew.132

Każdy, kto kupi paczkę kawy Cardinale Massaia funduje posiłki dla osieroconych dzieci w Republice Środkowoafrykańskiej



Zdecyduj się i pomóż!

SEKRETARIAT MISYJNY Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

opiekuje się misjonarzami pracującymi na kontynencie afrykańskim w Republice Środkowoafrykańskiej, Czadzie, Algierii, Gabonie i Sudanie Płd.

Wspieraj misję swoją modlitwą, pracą i ofiarą.

Sekretariat Misyjny Kapucynów
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO BP: 97 1020 2892 0000 5502 0016 6371

FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE

zajmuje się organizowaniem i niesieniem pomocy humanitarnej, dobroczynnej i charytatywnej ludziom potrzebującym w krajach afrykańskich, w których pracują misjonarze z Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów.

Przyłącz się do nas już dziś!

Fundacja Kapucyni i Misje
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO S.A. 47 1240 4533 1111 0010 3492 9934
www.fundacja.kapucyni.pl



KRS: 0000356850

Biuletyn „Kapucyni i misje”

Za zgodą władzy zakonnej.
Do użytku wewnętrznego Kościoła.
Koszt prenumeraty to dowolna ofiara na pokrycie wydatków związanych z drukiem.

Wydawca:

Sekretariat Misyjny, ul. Korzeniaka 16
30-298 Kraków, tel. (+48 12) 623 60 50 wew.132
e-mail: misje@kapucyni.pl
www.misje.kapucyni.pl

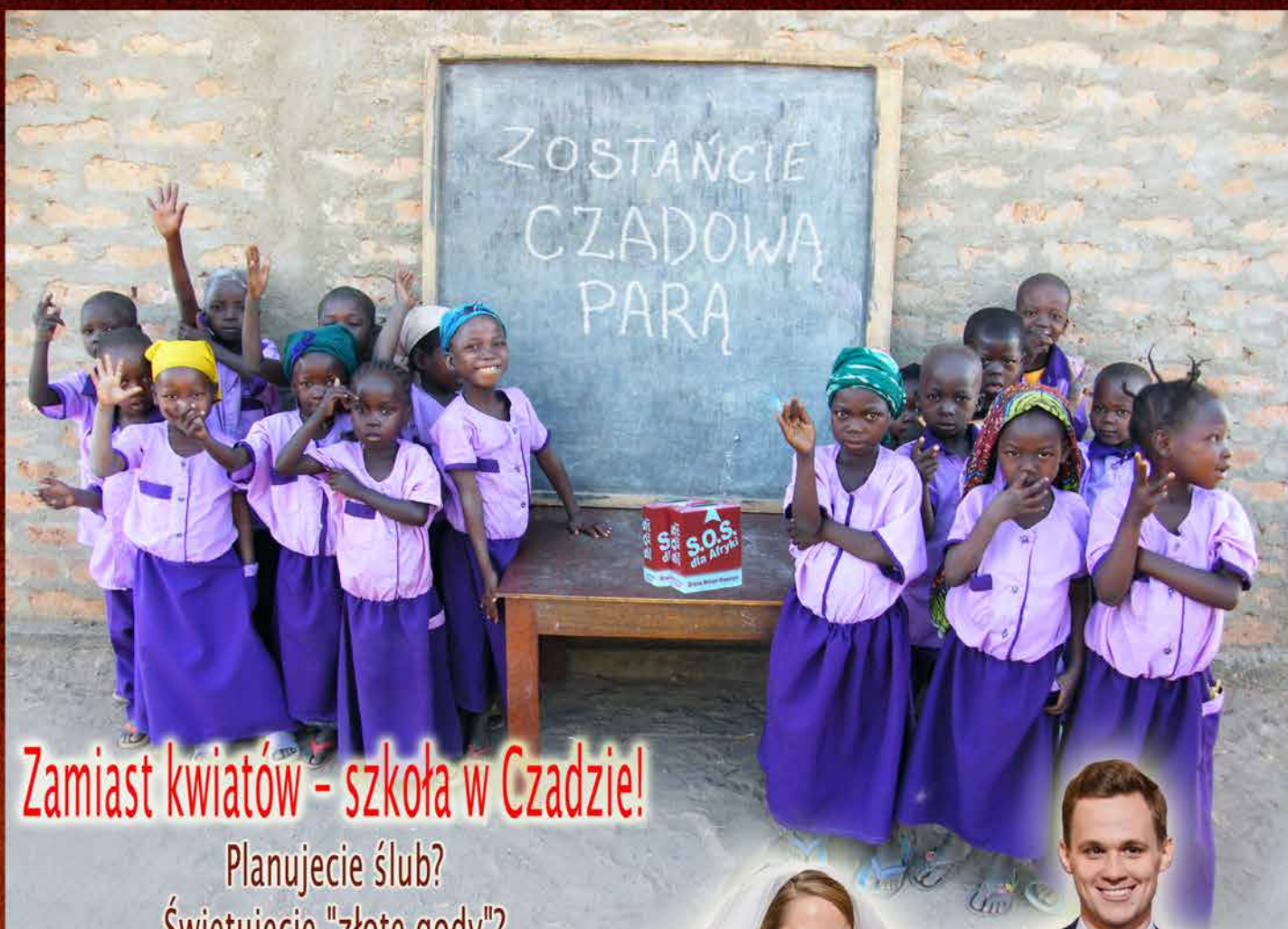
Redakcja:

br. Jerzy Steliga OFM Cap (red. naczelny)
Diana Bonowicz
Nakład: 5500 egz.

Skład i druk:

Studio Graphito, tel. 71 310 21 65





Zamiast kwiatów - szkoła w Czadzie!

Planujecie ślub?
Świętujecie "złote gody"?
Obchodzicie imieniny?

Poproście Waszych gości o nieprzynoszenie kwiatów na Waszą uroczystość. W zamian niech złożą ofiarę do puszeki misyjnej. Kwiaty zwiędną szybko, a Wasz dobry uczynek pozostanie.

Z przekazanych pieniędzy misjonarze kapucyni sfinansują edukację swoich podopiecznych. W ten sposób, bez ponoszenia żadnych kosztów i bez wysiłku, pomożecie najbardziej potrzebującym dzieciom w Afryce. Dacie im szansę na to, by nauczyły się czytać i pisać. Dacie im nadzieję na lepsze życie.

Za Wasz dar, misjonarz zrobi specjalnie dla Was, oryginalne zdjęcie z imiennym podziękowaniem od dzieci z Czadu.

Zostańcie Czadową Parą

www.facebook.com/czadowapara
czadowapara@kapucyni.pl

fot. K. Chudy